najbogatszym badylarzom nie śniły się jeszcze ogumione koła przy wasążkach, nie mówiąc o drabiniastych wozach. Mój profesor tłumaczy mi jasno i na całe życie: co to są piasty, wieńce, osie i ramiona, po miejsku zwane szprychami.

Numer autorski przynoszę panu Desce wraz z połową honorarium za ten wiejski „kawałek".

— Jakby co, to ja zawsze... — śmieje się mój domowy Piast-Kołodziej wpatrzony w te dziesięć złociszów leżących na dłoni, to zerka znów i na swój, jak by nie było, drukowany także debiut. Nie ma podpisu? Mój także tam nie figuruje, skoro nie jest identyczny z nazwiskiem na liście lokatorów, gdzie się mężatkom nie ma prawa wypisywać panieńskich nazwisk.

— Tak czy siak imienniki my som po świętym Janie. I co jak co, dyć to przecie szczyra prawda! — dodaje na koniec.

„Szczyra prawda" — pojęcie najbardziej rozciągliwe, gdy patrzę za siebie w te zamglone, dalekie lata. Jak wyłuskać ją w stanie nieskażonym późniejszymi nalotami doświadczeń?

Choćby ten „pałacowy przewrót" w moim nowym miejscu pracy, czy dokonał się istotnie w imię „postępu"? Kim był ten, na przykład, nowy „szef", rzutki, bo rzutki, z wolną ręką aż do tego stopnia, że nic mu nie szkodzą w koncepcjach i układach politycznych Związku Nauczycielstwa z sanacyjnym rządem pracownicy z wilczymi — przez sanację wydanymi — biletami, Edek Szymański, proletariacki, rewolucyjny poeta Woli, a już niebawem jeszcze jedna pracownica redakcji, poprzedzana na razie tylko aluzjami Józia.

Na świecie była wówczas, dziś dopiero to wiemy, sytuacja bardzo przełomowa. Od 1933 roku Hitler doszedł do władzy w Niemczech. Do nas docierali nieszczęśni uciekinierzy — Żydzi niemieccy — patrioci niemieccy wychowani na Heinem, Goethem, uważający Niemcy za swój ojczysty kraj, niemiecką kulturę za własną, asymilowani całkowicie od dziesiątków lat, z małżeństw mieszanych, z dziećmi, które nie rozumieją żadnej „Rassenschande". Mieliśmy za sobą „cudze", bo wiedeńskie, pokonane barykady. Doświadczenia to dla i naszych wewnątrz kraju walk klasowych. Rok 1934 jest jeszcze „czarniejszy", bo wschodzi w nim bujne czarne faszystowskie ziarno, przyniesione do nas

przez zaiste „zachodni wiatr". Mamy swój, państwowy pakt nieagresji z Hitlerem, mamy także własny obóz koncentracyjny — Berezę Kartuzką. Już jesteśmy i po procesie w Kobryniu, który tak wstrząsająco podziałał na Ewę Szelburg-Zarembinę, czego świadectwem był jej reportaż z tegoż procesu, opatrzony tytułem „Myjcie owoce", tytułem zapożyczonym od wiszącego na sali sądowej propagującego higienę plakatu. Na tle tego racjonalnego hasła walczyli ludzie o życie, nie zagrożone tyfusem czy krwawą nawet biegunką. Ci obrońcy i oskarżeni toczyli walkę z coraz bardziej urzeczonym włosko-niemieckim faszyzmem obozem sanacji.

W ruch poszły wówczas wszystkie nasze koneksje i kontakty towarzyskie. Kawiarniane i barowe także. By zdobyć jak najwięcej podpisów pod protestem przeciw faszyzacji naszego kraju. Wśród pisarzy — luminarzy, bezpartyjnych, apolitycznych, znanych i uznanych, z którymi nie rozprawi się przecie rząd sanacyjny zesłaniem ich do Berezy czy postawieniem przed sądem doraźnym z racji ich przekonań. I zdobywszy podpisy, mimo takich czy innych rozterek duchowych naszych niektórych tylko liberałów, którzy nadal chcą pozostać apolityczni. Wymyślają i takie argumenty, że „szanujący się pisarz nie może się podpisać pod cudzym tekstem". Święta racja. Tekst jest cudzy, bo jeden i raczej suchy a rzeczowy. Treść tego tekstu okaże się nie taka znów „cudza", jak i dla nas w Polsce nie mogły być w rezultacie „cudze" te wiedeńskie barykady. Liberałowie, apolityczni, ludzie dobrej woli. Ale już i tu by trzeba potężny kawał wypisać kursywą, która w tych moich wspominkach jest takim obecnym, teraźniejszym już skojarzeniem, refleksem, arką przymierza między dawnymi i dzisiejszymi czasami. Przyjdzie na to czas stosowny, gdy dalej się potoczą wypadki. Teraz przybyła nam książka już nie z pozycji tylko liberalnych. Krążyła z rąk do rąk. Nazywała się „Oblicze dnia". Autorka: Wanda Wasilewska. Przeczytałam w ciągu jednej nocy. Fikcja literacka? Diabła tam! Jest tam życie, nie to z okien pierwszego piętra, gdy się patrzy w podwórze czy na ruchliwą ulicę. I język, którym mówią prawdziwi, nic a nic nie udziwnieni, nie wysublimowani, papie-

rowi bohaterowie wydumanych, przemielonych, doprawionych wymyślnymi przyprawami wydarzeń, losów, akcji.

Skąd ta jakaś Wasilewska to wszystko wie? Od szydełka, od naparu z malwy, którym się spędza tę ciążę-przekleństwo, i mąż pijak, walący butem o zamkniętą bramę? Tak jak obok, za takim jak nasz płotem, na każdym przedmieściu także i stolicy, w suterenach centrum. Życie ludzi z dna. Chodzące od stołka do stołka proletariackie dzieci. Wszystkie nędze kobiet, zamykanych na klucz samotnych, niedołężnych niemowlaków, a co gorsza i tych, co i do zapałek sięgną, wrzątek na siebie wylać gotowe. Szkoła oczami tych matek-nędzarek, moloch nie szkoła, bezpłatna, a pochłaniająca krwawe grosze na książki, ołówki, farbę, bibuły, składki, fanty, prezenty. Plącze mi się wszystko w oczach. Twarze tych moich, usadzonych w szkolnych ławkach na wywiadówkach. Nie ślicznej mamy Jerzyka, nie zasobnych sklepikarzy z dwiema witrynami. Tych bezzębnych babek-matek i córek „żeniatych". Jednakowo już bezzębnych. Anatol. To ten najbliższy? Znany, umiany, najprawdziwszy w całej biografii i w każdym szczególe. Bezrobotni. Ich dialogi. Autentyczne. Ona, ta Wanda Wasilewska, pisze to z samego środka, z całym ładunkiem nienawiści klasowej, a nie z filantropijnego „współczucia".

— Wasilewska... Wasilewska... Czekaj, co nam mówi to nazwisko? — staram się coś wyłowić w pamięci. Nie wiąże się to jakoś z owym punktem widzenia naszej rzeczywistości społecznej, jakże odkrywczo i wiernie odbitej na kartach jej książki.

— Ba! Nazwisko? Historyczne. Ministerialne. U zarania naszej Niepodległości... — melodyjnym, urzekającym basem podpowiada Schiller, nadal na co dzień „Lulkiem" zwany.

Siedzieliśmy w małej knajpce na Chłodnej. Romantyka? Niech będzie romantyka. Kto bez grzechu — niech rzuci kamieniem.

— Już wiem. To pierwszy minister spraw zagranicznych. Leon Wasilewski. Pepesowiec...

— Ba! Z jakimi tradycjami! A książka niezwykła. Chyba pierwsza w naszej literaturze...

— A te awantury na „Cjankali", tu na gościnnych występach... Tak blisko stąd, na tej samej ulicy, w tutejszym więc niejako teatrze... Zbulwersowani korporanci w obronie moralności rodziny, która to moralność ma jakże niezawodne klapy bezpieczeństwa. Choćby znów ta mała tylko „rodzajowa scenka" w alkowie, pod nieobecność szlachetnego acz roztargnionego pana. Taką rzecz można wiedzieć tylko od samej dziewczyny „w służbie" u tegoż starszego pana z synalkiem. A więc i to ta Wanda wie, to też część „oblicza dnia"... A sama walka? Strajkowa. I wbrew wszystkiemu owo „budujemy świat wolnych ludzi"...

Rozważam i akcję „Cjankali" Fryderyka Wolfa, w reżyserii mojego rozmówcy. Sztuka z premierą sprzed trzech czy nawet czterech lat. W Łodzi, a u nas także w teatrze na Chłodnej, wycie, kamienie rzucane na scenę przez zorganizowane bojówki korporanckie. Rozważam jeszcze raz i akcję „Oblicza dnia". Pełniejszą, prawdziwszą, bliższą. Po prostu stąd, także jakby z tej „czerwonej" Woli.

— No nie, no raczej tak... Z samych tutejszych też barykad... — mój rozmówca szuka najprostszych słów, bo w rozmowie unika patosu jak ognia, ratuje się swoimi porzekadłami. Niech się ratuje. I bez patosu mówi o rzeczach porywających. I dlatego chciało się go słuchać godzinami. Wszystko się skrzyło w tych raczej monologach dowcipem, piekielną wprost erudycją, barwnością, znajomością teatru i wszystkich pozostałych sztuk pięknych. Jakże on umiał mówić o ludziach od „Młodej Polski" poczynając, na tle epoki, w anegdotach prześmiesznych, poprzez znajomość środowisk przeróżnych z ich niepowtarzalną specyfiką obyczajową! Niech no się jeszcze trafił fortepian czy i rozstrojone nawet pianino w takim miejscu spotkań naszej kompanii aktorsko-literackiej z przyległościami familijno-sercowymi. Kolberg? Czy Kolberg mógł mieć taki urzekający głos i słuch absolutny? Skąd ta choćby piosenka? Ocalała po tylu latach w pamięci:

Ej, dziewczyno, ty mnie nie znasz,
z Łyczakowa jezdem bednarz...
Ryń-dzyń, tarniawa, róża woniawa,
jezdem bednarz...

A przecie te muzyczne prawie igraszki wcale jakoś nie kolidowały i z tym spektaklem, który znów z nóg musiał zwalić dziesiątki etatowych, kontraktowych i działających na zasadzie „prac zleconych" funkcjonariuszy śledczej brygady politycznej

na warszawskim Ratuszu. To już było przed rokiem, czyli w 1933, gdy w Teatrze Nowe Ateneum poszły „Krzyczcie, Chiny!", a jak afisze głosiły w pełnym tekście obszernego, bo obszernego tytułu: „łańcuch faktów w 9 ogniwach Sergiusza Tretiakowa. Przekład Edwarda Janickiego (czyli jeszcze jedno wcielenie Andrzeja Stawara, czego rzecz jasna nie ujawniał afisz). Inscenizacja i reżyseria Leona Schillera. Konstrukcja sceniczna Andrzeja Pronaszki". Sztuka ta grana rok wcześniej we Lwowie, dzięki tym samym „sprawcom" co i na warszawskim afiszu, też krwi musiała napsuć niemało lwowskim łapaczom. W parę miesięcy później po lwowskich, pot — spod meloników spływający obficie — ocierali znów i łódzcy tajniacy, bowiem w grudniu 1932 roku w tutejszym Teatrze Miejskim przy współudziale w reżyserii Henryka Szletyńskiego, a dekoracjach Stanisława Jarockiego ponownie publiczne i to dziewiętnastokrotne zgorszenie siały znów te same rewolucyjne Chiny. Lecz skoro jesteśmy już w roku 1934, od stycznia do grudnia tegoż roku naliczyć można Schillerowskich premier od „Maszyny" S. Treadwella poczynając, a na „Dziadach" kończąc — jedenaście, jak obszył. I myśmy przy tym byli, miód i wino pili, bo jako bliscy i wierni przyjaciele nie opuściliśmy przecie ni jednej premiery warszawskiej, po kumotersku usadzeni w bardzo bliskich rzędach prasowych.

I jednak rok ten zaczęty tak minorowo zaliczyć muszę, jak w życzeniach urzędowych formułować się zwykło, jako okres „powodzenia w życiu osobistym" również. Zawodowe natomiast „sukcesy w pracy" objawiały się w każdym numerze „Płomyczka" nie tylko dzięki „Toczonemu dziadkowi", który ciągnął swą opowieść w odcinkach pięknie ilustrowanych, lecz i poprzez krótsze „romanse". Te zaś nie śmiały przekraczać nie tylko limitu obliczonego w linijkach, lecz winny się bardzo „liczyć ze słowami" dostępnymi mentalności konkretnych roczników siedzących w konkretnych klasach publicznych szkół powszechnych.

Chyba w tym czasie, a więc jesienią tegoż pomyślnego „w pracy zawodowej i życiu osobistym" (wbrew sytuacji ogólnokrajowej) roku — zdobyłam to, na co tylko mogłam patrzeć z zawiścią w podziemiach kabaretu Hemara: maszynę do pisania. Zdobytą na raty, bo na raty, lecz pochodzącą z fundacji mego drewnianego, toczonego dziadka. I na niej to, coraz sprawniej i bieglej wystukiwałam, od sierpnia poczynając po grudzień roku kalendarzowego, historyjki przeróżne, których nie przynieśli autorzy z miasta, a w linotypach już bulgotał gorący ołów i owe harmonogramy redakcyjne krzyczały grubymi i cienkimi głosami. Jakże przydatne były doświadczenia, czyli muzy z praktyki nauczycielskiej utraconej na zawsze, własna, coraz doroślejsza Ania, dzieci sąsiadów z sutereny, małe murarzęta bezrobotnego ojca, romantyczne włóczęgi po dzielnicach odległych od śródmieścia, lektura codziennych gazet, czytana specjalnie, od wcale nie urzędowych artykułów poczynając — czyli otaczające nas codzienne życie, przeszłe i teraźniejsze, normalne poprzez uśmiechy i łzy, jak leci.

Tom gruby może powstać z tych opowieści rozproszonych po numerach płomykowych wydawnictw, ale nie ma potrzeby ich zbierać, choć niektóre z nich, odczytane w archiwalnych rocznikach Biblioteki na Koszykowej, przeniosły mnie nagle w lata bardzo odległe, z których w naszym, dziś całkiem nowym mieście, kamień na kamieniu nie został. A jednak jest tam i autentyczne Powiśle, i Mokotów, znów jesiennym słońcem naświetlony. Sentymenty? Sentymentalne, żeby było ściślej, jak owo „masło maślane", na tej samej zasadzie. I musiała to być późniejsza już jesień, na co jeden wskazuje szczególik. Czysto babski. Suknia była z granatowego szewiotu, pod szyję zapięta surowo, wykończona kołnierzykiem ze szkockiej kraty. Nie moja suknia, tylko stojącej nade mną kobiety. Ja siedziałam na podłodze nad stosem wywalonych z redakcyjnej szafy zapasów ciągle jeszcze nie do końca posegregowanych ostatecznie, zapasów zeszłorocznych i „z lat dawnych", jak o archiwach zwykło się mówić.

Znajomość zaczęła się nie jak u normalnych ludzi: twarzą w twarz. Od dołu, z zatraceniem proporcji czy z przesadą dodatkową w jej obliczeniu. Lecz gdybym nawet przyjęła tę panią w normalnej pozycji, wstając na jej powitanie zza biurka — też musiałabym patrzeć w górę i to nie pod wpływem jakiejś symboliczno-uczuciowej egzaltacji, lecz z całkiem prozaicznej przyczyny: to była osoba bardzo wysokiego wzrostu.

Redakcja wydawnictw dziecięcych ZNP od strony składu etatowego przedstawiała się nadal niezbyt proporcjonalnie do zasobu

redakcyjnych pokoi. Trochę poza mną i Józiem nas przybyło, choćby koleś nad kolesie, galant nad galanty — kierownik graficzny, Kazimierz Pieniążek. Bez etatu, poprzedzany wiatrem halnym, z niesfornym kosmykiem złocistych włosów na czole wpadający do pokoju Edek Szymański. Już autor dwóch tomików, skonfiskowanych „20 milionów", i wydanego w tymże roku 1934 zbioru wierszy „Do mieszkańców Marsa". Autor „Kartoteki", której, w owym 1934 roku, tak już brzmi końcowa fraza:

Baczność! Stawać w szeregu! Policzyć bruk i głowy —
wysypać się spod bram!
Raz. Dwa.
Czarny. Brązowy.
SA batalion szturmowy.
Idzie. Idzie.
Idzie
ku nam!

Po nadal pustych pokojach kołatał się, niby owa dusza potępiona, także miły Wacław Mrozowski, pewnie znów trochę jakby „wczorajszy", żeby nie powiedzieć nie bardzo dospany. Delikatny, serdeczny, opiekuńczy, choć sam siebie nadmiernie we własnych wspomnieniach jednym z grzechów głównych oczernia, tym, który z dna szklanego wyziera. O Józiu wspominać nie trzeba, raczej jeszcze raz podkreślić, że zawsze był w tym czasie w zasięgu głosu i niemal ręki, nafaszerowany zarówno franciszkańską dobrocią, jak i kpiarskim humorem w proporcji 1 : 1.

— Pani do kogo z nas? — zapytałam, prostując ścierpłe kolana już w przyzwoitej, bo stojącej postawie.

— Do kogo z was? Nie wiem. Może do wszystkich naraz? — odpowiedziała nieznajoma. — Mam tu podobno pracować. Jestem Wasilewska...

— Wanda? Autorka „Oblicza dnia"?

— Chyba tak...

Patrzę ze smutkiem na wywalone papiery u naszych nóg. A co nam ta Wasilewska pomoże? Barykady, a tu zapotrzebowanie jak na teksty na szkolną tablicę. Urozmaicona Ala i As. Znowu koncept „szefunia"? Może chce pobierać od niej prywatne korepetycje „lewicowe", bo że i on, i zwycięzcy komilitoni stanowią stronnictwo samego „dziadka", to coraz jaśniejsze. Drą się z endekami za łby, a kto ich wie, w imię czego? Pościągali się wzajemnie z terenu, ze zwykłych przecie szkół, jak nie powszechnych, to zawodowych. Nie z uniwersytetów przecie. A życie tu w stolicy i w tym gmachu szczególnie — nie w kij dmuchał, nie to, co do tej pory między prowincjonalnym plebanem, komendantem posterunku policji, aptekarzem i konsyliarzami w małym miasteczku powiatowym w najlepszym razie. Pisać to nam dają, to prawda. Bez mizdrzenia się do milusińskich, a to już i dla nas z kolei gra warta świeczki. Stoimy z moją czy naszą wspólną interesantką i nawet spytać nijako, czy pani, towarzyszka, koleżanka zniżyć się zechce do tej naszej codziennej roboty? Naradzaliśmy się poufnie z godzinę z Czechowiczem i Edkiem Szymańskim:

— A jaka ona jest? Bardzo wyniosła?

— A kto to może wiedzieć? Skąpa w słowach, jakby nieprzystępna...

— Czy w ogóle przełamią się te pierwsze lody?

— Sie zobaczy! — rozstrzygnął praktycznie Edek.

Trzeba było jeszcze paru dni, żeby skonfrontowały się nasze wzajemne wrażenia, żeby lody z hukiem pękły. Sporą zasługę miał w tym względzie nasz Józio — wykpiś i złośliwiec w momencie, gdy widać zdrzemnął się w nim na chwilę święty Franciszek. Wszedł do pokoju, kiedy Wanda stała przy telefonie i usłyszał jej pierwsze słowa:

— Tatuś? To ja, Dziunia...

Józio bezczelnie łypnął na mnie okiem i kładąc jakiś szpargał przede mną, rzekł słodziutko:

— Niech Niunia to zaopiniuje...

— Niech sobie, Ziunio, cholera jasna, sam to arcydzieło przeczyta i do kosza wyrzuci — odcięłam mu się, ale na próżno. Tak już zostało: Dziunia i Niunia, tylko Ziunio się jakoś nie przyjął, w drodze kompromisu na Józiu stanęło.

Nasz dialożek musiała usłyszeć Wanda, mimo przyciśniętej do ucha słuchawki. A odłożywszy ją na widełki, roześmiała się i to wcale nie tym pierwszym powściągliwym jakby uśmieszkiem:

— No, szczęśliwie! Lody ruszyły. A w ogóle czyście powariowali, że mnie tak obchodzicie z daleka? Jestem po prostu z na-

tury aż głupio nieśmiała. Bałam się was: jesteście tu zżyci, kawalarze, może złośliwcy... A wy chyba nie macie zamiaru nudziarstw tu wypisywać? I ja jestem nauczycielką z powołania, choć bezrobotną, jak się domyślacie z wiadomych, politycznych powodów. Ale pisać trzeba inaczej, nie jak stare ciotki z morałem, od którego aż w nosie kręci jak od naftaliny...

— Spróbować, proszę Dziuni i Niuni, należy... — przystał już i do Wandy na dobre nasz miły Czechowicz.

I zaczęło się pisanie inaczej. Tu można by rzec: miłe złego początki... Nie pomieszczę w tym tomie dalszych perypetii nie tylko owego „pisania inaczej" ani przyjaźni, która weszła w moje życie silniejsza chyba niż miłość, ani tego wszystkiego, co narastało aż do wrześniowej tragedii naszego kraju. Nawet i zbyt chyba legendarnych dziejów strajku nauczycielskiego, któremu też z oddzielny rozdział warto poświęcić, w imię prawdy historycznej redukując czy przestawiając owe przysłowiowe całe wasągi drzewa z krzyża świętego, a tym samym oddać należną sprawiedliwość polskiej klasie robotniczej, bez której chyba jednak połknęłaby nasza własna polska reakcja cały ten gmach na Powiślu, dobra materialne i moralne ówczesnego Związku Nauczycielstwa Polskiego. Lecz o tym — po tym. Na razie, skoro jesteśmy na przełomie roku 1934—35, jak to drukować należało w naszych dziecięcych wydawnictwach, wiedziało się i to, że w głównym gmachu nie dokonał się żaden przewrót rewolucyjny, że członkowie Zarządu Głównego to przecie nie żadni komuniści, że i nauczyciele nie żyli tylko z myślą o dokonaniu rewolucji społecznej, a kraj także się nie znajdował w przededniu proklamowania którejś tam z kolei „sowieckiej" Republiki Rad (chyba siedemnastej, jak doliczała się nasza reakcja endecko-sanacyjna, strasząca i siebie, i współobywateli widmem komunizmu, gwoli nie dostrzegania bynajmniej już nie widma hitleryzmu). A więc zgodnie z programem szkolnym musiały być i numery specjalne, poświęcone „Panu Marszałkowi", bowiem „kult jednostki" ma i nasze narodowe tradycje. Józio wpadał do nas wówczas z gotowymi szpaltami. Rozkładał je przed nami na biurku.

Czułam się bardzo nijako:

— Znów kompromis, cholera! Co z tego, że poprzestajemy na technicznej tylko korekcie?

— Tak. Numerek państwowotwórczy. Czytaj mimo to uważnie, nie przepuść literówek — odpowiada nie mniej zła Wanda. — Przyjdzie jeszcze moment stosowny. Nie porośniemy tu mchem...

— Czekaj tatka latka. A czuję się znów jak w młodości, gdy myślałam, że żyję z nierządu, gdy mi płacił za korepetycje swojej debilki pewien dozorca odnajmujący stróżówkę „dziewczynkom".

Z tymi skrupułami wróciłam do domu, choć Wanda próbowała mi je wyperswadować, znów jakże podobnie, jak kiedyś na Pięknej, w studenckim pokoiku, gdyśmy doszli aż do pracy robotników w fabrykach amunicji, nie licząc gorzelnianych...

— Myślę, że to Wanda ma rację. Kiedy ty skończysz tych szesnaście latek, moja stara dziewiątko? — niby to mnie wykpiwał Władek, ale sam się nieraz otrząsał, robiąc korektę tekstów w „Wiadomościach Literackich", które bywały mu więcej niż obmierzłe, a redakcja była elektryczna — to przecie wiadomo.

„Stara dziewiątka" powiedzenie raczej czułe, choć o nieznanym źródłosłowie. Ani szesnaście, ani dziewięć nie mogło się jednak uskładać na tę trzydziestkę, która mi już stuknęła. Jeśli nie w marcu na świętego Józefa, patrona „Marszałka", to w sierpniu i tak to nastąpi. A tymczasem dziecię nasze wskutek lekkiej grypki królowało w łóżku, obłożone książeczkami, w które służbowo nawet mama była zasobna.

— Słuchaj, czy ona nie czyta? — niby to podejrzliwie spytał mnie Władek.

— Jak to czyta? W piątej wiośnie życia? Toż byłaby to zgroza dla mamy-pedagoga i redaktorki dziecięcych pisemek. Czyste horrendum!

Patrzyłam jednak na przewracane kartki książeczki przez młodą recytatorkę na pamięć wykutych, dziesiątki razy czytanych jej wierszyków. Przez ojca i Ewę, i babcię, i mnie samą.

Recytacja trwała. Bardzo potoczyście i bezbłędnie. Rym gonił rym, „pointa" wypadała i w opowiadanku jak trzeba. Aż nagle dziecię nasze jedyne utknęło w jakimś miejscu i wtedy usłyszałam:

— Bbb... a... rrr... a... nnn... e... k... Baranek! Baranek!

Jeszcze nie dowierzałam. Na wyrywki pokazałam parę wyrazów rozrzuconych na poszczególnych stroniczkach. Mała patrzyła na nie i poruszała bezgłośnie wargami. I padało odczytane słowo! Odczytane już bez żadnych złudzeń.

— A mówiłem, że czyta! — tryumfował tata.

— Jest się czego cieszyć! Czteroletnie dziecko!

— A co ja temu winien?

— Baranek się znalazł. A może ja ją uczyłam czytać ciszkiem a chyłkiem? — pytałam jadowicie. — Z punktu widzenia higieny psychicznej...

Przerwał mi początek wywodu mój miły, palnąwszy się w kolano swoim zwyczajem, gdy mu jakaś cenna myśl błysnęła:

— Ciszkiem? Chyłkiem? Mam! Mam! To ja rzeczywiście... — już próbował wpaść w skruchę, ale duma ojcowska wyraźnie skruchy nie chciała do głosu dopuścić.

— Jak? Kiedy? — indaguję go bezlitośnie.

— A na każdym spacerze. Pamiętasz ten bar na Trębackiej?

— Tę mordownię po schodkach, gdzieście się tak z Wandą i Marianem „zasiedzieli", niebożęta wy moje? Po drodze wam było, po drodze. Popasik malutki na strzemiennego? Im na Żoliborz, tobie na Mokotów?

Marian Bogatko, mąż Wandy, prototyp Anatola w jakiejś mierze. Anatola z „Oblicza dnia". Z zawodu murarz i to krakowski, co ma także swoją specyfikę. Oni oboje, uzupełniający się i nierozłączni w tym czasie, i w latach późniejszych — stają się dla mnie czymś więcej niż byłoby naturalne rodzeństwo. Rodzeństwa się nie wybiera. Ci byli z wyboru serca, rozumu. Każdy dzień nas z sobą urodzinniał, choć to słowo pokraczne. A jednak nie wytrzymalibyśmy jednego dnia bez siebie, bez wymiany myśli, bez obdzielenia się sprawiedliwie każdą troską i każdą radością. Ale o tym, także po tym. Wracam do tej „kłótni" rodzicielskiej, znów i to wbrew kobiecym ponoć obyczajom oddając głos małżonkowi:

— O to, to! Po schodkach! Nie taka znów mordownia. Ale z Anią to było w biały dzień... Z Hipotecznej wracaliśmy...

— Co w biały dzień? Na bigos dziecko czy na flaczki zaprosiłeś, pod piwko z wianuszkiem czy angielską gorzką?

— ... dziecko zapraszać? Do knajpy? Moją córkę?

— No więc: co w biały dzień?

— Napis tam wisi. Pionowy, swoista chińszczyzna. „Bar Raj" w pełnym brzmieniu przed samym wejściem!

— Nic nie rozumiem. Pionowo, poziomo. A jednak mordownia, niech ci się i raj nazywa...

— Ale Ania się spytała, czy ten bar to „aj". Sprostowałem, że „Raj". A ona, trzymając mnie za rękę, maszeruje dalej. To drobi, to nożęta wyciąga, jak może. I mówi sama do siebie: „rrr... takie, co ma brzuszek i nóżkę. Literka rrr..."

— Genialne dziecko! Po tatusiu! I jeszcześ się nie domyślił, że ona się tak literek uczy zamiast metody zdaniowej Falskiego? I to dozwolonej dopiero za trzy lata w jej wieku...

— A czy ja muszę się znać na tych waszych belferskich metodycznych regułach, normach, dogmatach? Ja się jeszcze nie na Falskim uczyłem, bo wtedy się zwyczajnie sylabizowało. I też przedwcześnie czytać umiałem — odgryzał się już całkiem dumą ojcowską ogarnięty tato również czytającej córki.

— Dwa geniusze pod jednym dachem — jakoś nie wypadało mi dać za wygraną. Obojgu. Pewnie z powodu zbyt zakorzenionych nadal nauczycielskich zasad w nauczaniu trudnej sztuki czytania i pisania jednocześnie, na Falskim i tylko na Falskim! A ten przetrwał nie lada próbę czasu. Po dziś dzień. A więc poniekąd i to wszystko, co przetrwało w moim także życiu, co może w dwóch trzecich zdołałam upchać jakoś i w „Dziesięciu sercach czerwiennych", i w niniejszym tomie. Wszystko, co wyłowiłam w swej zawodnej, bo tylko ludzkiej pamięci. I co w sercu utkwiło i trwa. A ileż jeszcze chciałoby się lat w podobny sposób ocalić? Chyba ponad cztery, tak jak sobie zakreśliłam, może i ze zbytnim rozmachem, od samego początku, jeszcze we wstępie pierwszego tomu. Czy podołam temu, by dociągnąć do roku 1939?

— Sie zobaczy — powiedziałby Edek na tamtym, dawnym Powiślu, do którego bardzo chciałabym wrócić. I to zaraz w pierwszym znów rozdziale tego ewentualnego i chyba już naprawdę ostatniego tomu.

Warszawa, 1963—1966

II-19194